Nr. 2. We Lwowie dnia 8. Stycznia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KAROL BRZOZOWSKI.

I.

Błogosławieństwo na drogę poety Karol Brzozowski brał od Mickiewicza. Zapatrzony w to słońce poezji naszej, z Poznania, gdzie bawił w r. 1846 przesłał Mickiewiczowi do Paryża swój przekład kilku pierwszych pieśni Osmanidy Gundulicza. Mickiewicz długo nie odpowiadał, aż wreszcie zwrócił właścicielowi rękopis z notatką: „Jak zajął mnie przekład, najlepszym dowodem są uwagi, które nad nim porobiłem. Gundulicz znalazł kogoś, co go zrozumiał. A więc naprzód.“ Prócz tej kartki było na samym rękopisie mnóstwo uwag, między innemi obok miejsca, w którem tłumacz gładkości wiersza poświęcał do pewnego stopnia wierność i przez to odbiegał nieco od oryginału, uwaga rymowana:

Biada poecie, jeżeli dla ucha
W jedwab ubiera prostą szorstkość ducha.*)

Rękopis przekładu Osmanidy, jak wiadomo, spłonął, i tak zaginęło dzieło, na którem poeta opierał nadzieję, „że przez parę pokoleń nie zgaśnie jego imię.“ Niepowetowana ta strata zniechęciła poetę na czas jakiś do pisania, a dopiero, jak sam wyznaje, „dziewicza piękność dzikiej Anatolji, owiawszy go duchem szerokiej ptasiej swobody, wcisnęła mu znowu pióro do ręki.“

Nawiązana listownie znajomość z Mickiewiczem przemieniła się w r. 1853. w osobistą, kiedy Brzozowski w tym czasie oparł się był w stolicy Francji, następnie zaś znów zetknął się z królem pieśni naszej w Konstantynopolu i to na czas niedługi przed śmiercią Mickiewicza. Chwil owych zachował żywe i rzewne wspomnienie.

Jak życie wspomnieniami złączyło Brzozowskiego z wielkim romantykiem, tak twórczość zespoliła go z ową świetną epoką naszej poezji, do której zakresem i charakterem działalności poetyckiej należy sędziwy jubilat.

Jak wszyscy romantycy, tak i Karol Brzozowski szukał pierwszych impulsów twórczości w pieśni ludowej. Z pochodzenia Litwin, uczeń gimnazjum w Sejnach, w młodości swojej, zanim mu przyszło na zawsze już rzucić rodzinne strony, gromadził z zamiłowaniem „pieśni ludu nadniemeńskiego z okolic Aleksoty“, które w r. 1844. wydał w Poznaniu „z dołączeniem niektórych melodji,“ zbiór zaś ten poprzedził własnym wstępem poetyckim.*) Oto dwie strofki tego wstępu, które doskonale charakteryzują zarówno ówczesne zapatrywania poety, jak i pierwociny jego twórczości:

Gdy zabijały nadzieję szatany,
W grób mnie niewoli wtłaczając łańcuchem,
Kryłem oburącz piersi moich rany,
By nie pokazać boleści — i duchem
Do was się możne obróciłem pany,
Bo was myśliłem owianych podmuchem
Siły. Biada wam! żywota nie macie.
Szatanu czynem kłamstwa nie zadacie!

Więc do maluczkich szedłem — bo mi księga
Święta mówiła, że tam życia kwiaty

*) Ob. Karol Brzozowski: »Moje wspomnienia o Mickiewiczu« w książce zbiorowej pn. »A. Mickiewicz. Życie i dzieła.« Kraków 1892 wyd. II. nakład red. „Kraju“ str. 29 i nast.

*) W wielkiej Encyklopedji illustrowanej s. v. Brzozowski P. Chmielowski rozróżnia mylnie „nieznanego“ wydawcę „pieśni ludu nadniemeńskiego“ i autora „Maleka“, będących jedną osobistością. W spisie dzieł poety pominięta „Noc strzelców w Anatolji.“

Lubi zasiewać niebieska potęga;
Że tam nocami duch męztwa skrzydlaty
Zstępuje, kędy wieśniacza siermięga;
Że często zsyła Bóg straszne Goliaty,
I gdy serc możnych zamiera otucha,
Bóg ich zawstydza zwycięstwem pastucha.

Więc do maluczkich szedłem... i z podróży
Wracam spokojny i wiarą skrzepiony;
Ani się lękam tej straszliwej burzy,
Którą przeczuwa wasz duch zatrwożony;
Tym kwiatem dotknę was, jak szyderstw palcem,
Żeście myśleli lud gadem — padalcem.

Wiele się z kwiatów tej litewskiej błoni
Dziewiczej krasy w ręku moim zbyło,
Lecz jeśli który jeszcze ci zawoni,
Przypomni tobie tę ptaszynę miłą,
Co sercem w nocy majowe nam dzwoni;
Pomyśl, jak błogo duszy mojej było,
Deptać smug, kędy takie kwiaty rosną,
Gdzie się serc jeszcze poić można wiosną.

Jest w tym wierszu zasadniczy charakter całej późniejszej twórczości Brzozowskiego, która później stanie się może hartowniejszą, dźwięczniejszą, ale przenikać ją będzie zawsze owa smętna rzewność, ów liryzm, płynący przez połowę z powodów natury osobistej, przez połowę zaś z przyczyn ogólniejszych, dotykających całego społeczeństwa, scharakteryzowanych przez poetę w pierwszej z przytoczonych strofek.

Po wydaniu „Pieśni ludu nadniemeńskiego“ nastąpiła w pracy literackiej Brzozowskiego dłuższa przerwa, której kresem jest wspomniany już przekład Osmanidy, a poeta zabrał się do niego, być może, pod wpływem prelekcji Mickiewicza, książki, która była dlań, obok biblji, drogim towarzyszem, w której „szukał pociechy, męstwa, nauki i środków poznania się z wielką rodziną ludów słowiańskich.“ [1])

Nie można jednakże Karola Brzozowskiego uważać za literata z zawodu, za człowieka, dla którego praca piśmiennicza była celem i kresem działalności. Nie — inżynjer i żołnierz. namiętny myśliwy i badacz przyrody, a znawca jej taki, że mógłby tą znajomością zaimponować niejednemu z fachowych przyrodników, Brzozowski miewał okresy w swojem życiu, w których tworzył, i stąd, nie pisząc nigdy dla samego pisania, dla wypełnienia zobowiązań, zaciągniętych wobec redakcji lub wydawców, nie tworzył rzeczy słabych lub poronionych i jakkolwiek nie wdarł się na szczyt Parnasu polskiego, to jednakże w gronie poetów, występujących po r. 1850, zajął jedno z miejsc najprzedniejszych.

Zygmunt Miłkowski, który znał Brzozowskiego jeszcze w Konstantynopolu w r. 1853, kiedy nasz poeta poraz pierwszy znalazł się w stolicy państwa Padyszachów, tak charakteryzuje go w chwili, gdy mu przychodzi pomysł do nowego utworu: „Zwykle jest on bardzo koleżeński i wesół, lubiący gawędkę i umiejący rozpowiadać rozmaite prawdziwe i prawdopodobne anegdoty, ale niekiedy chmurnieje, zamyka się w sobie i ani z nim się dogadać. — Proś go o co, to zrobi właśnie to, o co nie prosisz. Czasami położy się i przeleży... dwa miesiące. Czasami przez dwa miesiące nie dotknie się strzelby i ani spojrzy na nią. Takie paroksyzmy są jego brzemiennością: Nosi on podonczas w głowie płód, który albo poroni, albo też wynosi i porodzi, i wówczas potrzeba obchodzić go zdaleka, a najlepiej zostawić go samemu sobie — niech fermentuje.“ [1])

Owocem tego fermentu był jeden z najpiękniejszych utworów Brzozowskiego p. n. „Noc strzelców w Anatolji“, poemat opisowy, pełen prześlicznych obrazów przyrody i tego kolorytu wschodniego, którym poeta, znający literaturę i języki wschodu, zabarwia swoje utwory, ale nie wolny także od liryzmu, do którego przyczynia się sam tok wiersza już to ośmio-zgłoskowego, już to (w chórach) dziesięciozgłoskowego, a płynącego od początku do końca niby lawą gorącą. Prześliczną jest apostrofa do Mickiewicza, któremu Brzozowski czytał parę ustępów swojego poematu:

O Adamie! boski wieszczu,
Królu piewców złoto-struny!
Ty po złotych pieśni deszczu
Weźmiesz lutnię twą do truny;
Po cudownej pieśni twojej,
Jakiż piewca się ostoi!

„Noc strzelców w Anatolji“ wydana po raz pierwszy w r. 1856,[2]) później miała jeszcze kilka wydań, między innemi w r. 1877 w Bibliotece „Mrówki“ (T. 47), a niestety, po dziś dzień jeszcze naprózno czeka na należące się jej oddawna studjum krytyczne.

W r. 1857 Brzozowski ogłosił we Lwowie „powieść czerkieską“ p. n. „Ognisty lew“, poemat, opiewający dążenia Czerkiesów do wyjarzmienia się. Oto inwokacja pieśni XI-ej:

Wolności! tyś jest jak miecz archanioła,
Kto go ramieniem schwyci wielkoluda,
Ten Salaminy, Termopylów cuda
Potęgą woli olbrzymiej wywoła,
I takie słońce czynami rozpali,
I takim blaskiem w ćmie wieków wystrzeli,
Że w swoją istność myśl stu wieków wcieli,
I starą świata świątynię rozwali,
Jak sędzia stanie w rozumów zawiei,
I będzie ludom synem Galilei!

[1]) Wspomnienia o Mickiewiczu l. c.

[1]) Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż) »Pamiętniki włóczęgi« »Dziennik literacki« Lwów 1858 str. 1087.

[2]) Wyjątki pomieścił Dz. lit. 1856. t. I. str. 3. i nast. Oddzielnie wyszedł ten poemat w Paryżu z drukarni Martinet'a.

Obok większych poematów, o których wspomnieliśmy, Brzozowski pisywał także mnóstwo drobnych wierszy lirycznych, które przesyłał *Dziennikowi literackiemu*, wychodzącemu we Lwowie od r. 1852, który skupiał wówczas najwybitniejsze siły literackie w Polsce. Oryginalne wiersze, jak „Dobra noc" (Dz. lit. 1858 str. 1120), „Echo" (1858 nr. 91), „Łzy" (n-r 109) i t. d. zalecają się zarówno bogactwem formy jak i treści.[1]) Poeta używa prócz wielu znanych kształtów stroficznych także ulubionej formy poetów wschodnich, zwanej gazelą. Erotyki jego, stosunkowo najmniej liczne, uderzają świeżością i prostotą. Oto próbka:

Ach spłyń do mnie, spłyń z obłoku!
Córo krasy i uroku,
Gwiazdo moich snów!
Spłyń z obłoku i obliczem
Czarodziejskiem, tajemniczem
Mnie zabłyśnij znów.

. . . .

O spłyń tu, do mego łona,
Wymarzona, niewcielona!
Szatę bóstwa zwiej;
Myśli moich, snów kochanko!
Odziej się choć drzewa tkanką
Choć traw szatę wdziej. (Dz. lit. 1858 str. 1120).

Czasem, zwłaszcza gdy zapożycza się od poetów wschodu, staje się bardziej zmysłowym:

Czem się dzieje, moje słońce!
Że spokojne serce moje,
A na pierś mą spływające,
Drżą twych włosów złote zwoje.
Bo podbita twą jasnością,
Dusza ma wybiegła z łona,
Drży zachwytem i miłością,
U twych włosów zawieszona.[1])

Obok wierszy oryginalnych Brzozowski pomieszczał w *Dzienniku literackim*, a niekiedy i w innych pismach mnóstwo przekładów, najchętniej zaś tłumaczył Uhlanda i Herwegha, a także Goethego, a tłumaczenia te, zwłaszcza obu pierwszych, zawsze poprawne, czasami wprost mistrzowskie, jednają szanownemu jubilatowi stanowisko w rzędzie tłumaczów obok Mickiewicza i Odyńca, niewielu bowiem w piśmiennictwie naszem posiadło w tej mierze sztukę tłumaczenia. Zawsze wierny, Brzozowski nierzadko przestaje być tłumaczem, ale wprost przetwarza obcy utwór, zaopatrując go skromnie dopiskiem „naśladowanie". Przykładem takiego naśladowania jest „Północna przechadzka" Herwegha, przełożona kunsztowną zwrotką ośmiowierszową (10, 11, 10, 11, 11, 10, 10, 10, — z rymami a b a b c d c d).[1]) Dzielnie także Brzozowski umiał pokonywać trudności tłumaczenia pieśni Heinego[2]), na których połamało się przedtem i potem niejedno pióro.

K. L. W—ski.

(Dok. nast.)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

Hanusia
(nachylona nad szyciem).
A słyszę.

Czepiec.
Ciężkie moje życie!

Hanusia (odwracając się ku niemu).
Pułkownikowi podziękuj serdecznie,
że ci ten ciężar zostawił — z przyjaźni.

Czepiec (prawie błagalnie).
Nie drwij-że!

Hanusia (na pół żartobliwie, na pół serjo).
Nie drwię! Mówię tak, jak myślę:
Wiesz — ciężki kamień skocznie polatuje
w przepaść z turniczki... Bież hań! w Kościeliską,
wleź na Kończystą i hip! a zobaczysz,
jak ci to ulży.

Czepiec (gniewnie).
Słuchaj!

Hanusia.
Ano słyszę...

Czepiec (urągliwie.)
Szumnie ci zagrał Janosz na gajdoskach —
potańcowałaś, aż ci dech zaparło.
Dziś nie utańczysz.

---

[1]) Jednym z najpiękniejszych drobnych wierszy Brzozowskiego jest »Mimosa pudica« (Dz. lit. 1856 str. 252.) kilkakrotnie później przedrukowywany.

[1]) Wiersz ten ma tytuł »Z perskiego wedle ustnego przekładu Salima-effendi.« Data: Tirnawa 25. III. 1858. Dz. lit. 1858 str. 740.

[2]) Dz. lit. 1866. str. 820.

[3]) Dz. lit. 1858. str. 684.

Hanusia
(stanąwszy przed Czepcem — w kilku taktach góralskiego tańca, na pół wyzywająco:)

Ej-że! patrz! drobniuśko,
w bok się ująwszy... Drepcą, drepcą nóżki,
a przebierają, aż ci cno się robi,
aż ci się oczka palą, jak u wilka.

(podśpiewując).

Ej-że! gajdy, gajdoski!
już ja w sercu bez troski:
słodkie nocki, słodkie dnie,
kiej Janosik zagra mnie!
Poszedł luby junak mój
na wojenkę, czy na zbój,
tak się strzepnął, kiejby ptak,
i pofrunął w horny ślak! o haj!...
A widzisz, Czepiec, jeszcze utańcuję!
Tak się na wietrze limba nie kołysze,
jak ja w tym tańcu...

Czepiec (roznamiętniony, wstaje nagle z ławy i rzucając się ku Hanusi, chce ją objąć wpół).

Tyś moja!

Hanusia (odpycha go energicznie.)

Nie twoja!

Czepiec (usiłując ją pochwycić)

Moja! tyś moja!

Hanusia (odtrąca go i poskoczywszy ku ścianie, gwałtownym ruchem zdejmuje ciupagę i staje w groźnej naprzeciw niego postawie).

Precz, ty!

Czepiec (zwolna się mitygując).

Nie pierwszyzna
jest to dla ciebie... Ja w przepaść z Kończystej,
a ty na ulgę rzuć się do Dunajca,
bo wnet za ciężko będzie ci — we dwoje.
Huczno ci woda zagra na gajdoskach,
razem z rybkami zatańcujesz sobie,
aż z tego tańca cała posiniejesz,
a oczy będą, by kawały lodu,
choć haw! się jarzą, jak jedliczne szyszki,
rzucone w ogień!... *(Z uczuciem)* Hanka! żyć nie [mogę,
takeś mi wlazła w moją duszę... Hanka!
kiej w Nowym Targu wiedli mnie pod słupy,
tak zakutego w żelazne łańcuchy,
że z nóg i rąk tych aż mi krew bryzgała,
myślałem sobie — nie, że już nie pójdę,
tam na swobodę spijać słodkie wina
w uherskich lochach, albo zdzierać skórę
z fryśnych Luptaków, albo na kubińskim
rynku barany rzezać ukradzione,
albo czerwieńce praskać na uciechę
grybowskich żaków, a inom żorował,
inom se lice ocierał ze ślozów,
że nie zobaczę już ciebie!... Hej!... Hanka!
tyś mnie zdradziła...

Hanusia.

Nie byłam frajerką
żadnych Wasylów... dzwonników... Po haściach
ani leszczynach z tobą nie chodziłam —

(niecierpliwie.)

jakie masz prawo? Gadaj!

Czepiec.

Jakie prawo?
takie mam prawo, że mi się chce ciebie.

Hanusia (która tymczasem założyła ciupagę na swojem miejscu — drwiąco).

I! raz się owsa zachciało koniowi,
ale po ziarnku wróble go rozniosły.
Wiesz: takie prawo każdy ma na świecie,
tylko, że ja tu nie dla wszystkich jestem.

Czepiec.

Ja cię miłuję... Samaś mi przed rokiem
obiecowała, że pójdziesz na życie
ze mną, z Wasylem, a teper mnie zwiedłaś!
Zdradę przebaczam... Czarnodunajeccy
i Chochołowscy wiedzą, że w me gniazdo
cudzy zaleciał ptak — a niech on zdechnie! —
przecież to pisklę, które się wykłuje...

Hanusia.

Ty mu chrobaczków zbierać tu nie będziesz.
Mówię: umilknij!

Czepiec (pokornie).

Mołoduszko moja!
Jak moje własne u mnie się wypierzy.

Hanusia (śmieje się).

Hahaha! ha ha!

Czepiec (zimno, z stanowczością).

To jest człek ze świata!

Hanusia.

Niech sobie będzie.

Czepiec (j. w.)

We świat precz uleci.

Hanusia.

A kto cię uczył, Czepiec, prorokować?

Czepiec.

Nikt!... To ci mówię: on cię tak zahabił,
jako świstaka, co go zarzynają,
widzisz, na sadło... Odwróć się od niego!

Hanusia (wesoło).

Zahabił mnie przy młynie,
przy zielonej wierbinie...

(Poważnie).

Nie mogę, Czepiec, nie mogę!... Nad wszystkich
jest mój Janosik...

Czepiec (z ironją).
Hładki, białolicy!...
(Po chwili stanowczo.)
Krew się poleje!

Hanusia.
Twoja!

Czepiec (rozpaczliwie).
Boh to znaje!
(Nagle)
Hanka! uważaj: a kiej ten przybłęda
zdradzi twą wiarę? kiej się precz poniesie,
niby ten sokół, co pożarł jagniątko?
kto weń umierzy? Czepiec?

Hanusia.
Nie! ja sama!
Aboś nie widział, jakem utrafiła
onegoć orła, wiesz, hań! popod Bystrą,
kiej się na halę spuścił i do strągi
z dziobem i szponem?..
(Zamyśla się... Po chwili.)
Orzeł mój Janosik,
ino jagniątka nie tyka... E! głupiś!...
(zamyśla się... po chwili, podśpiewując).
Uleciał se orzeł, ku słońcu się rzucił,
A potem w swój pielesz, do swej żenki wrócił...
I pieści samiczkę i pisklątko tuli —
luli złotohlawku, luli, luli, luli!...
Czepiec! śpiewałeś kiedy nad kolebką?...
(w zamyśleniu — podśpiewuje)
luli! luli! o haj,
luli! luli! luli!
(wybucha wesołym śmiechem)
Hahahahaha!
(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jan Kasprowicz.

CUD.

(NOCTURN.)

(Dokończenie).

Nagle wstrząsa się i błyskawicznie otrzeźwia... Oczy, jego rozwarte szeroko, wlepiają się z chciwością w tę srebrną ścianę przeciwległą... Na jasnem tle odbitego ostrołuku — widzi cień ludzkiej postaci — smukłej... falistowłosej... kobiecej... Postać-cień, utkana z mocniejszych i bledszych cieni i półcieni. tonów i półtonów odzwierciadlonego światła... Gdzie niegdzie lśniąca linja lekko zaznacza kontury ciała... U drobnych, bosych nóżek snop pysznych lilij, palm, akantusów, które podziwiał z wieczora...

To tylko cień... odbicie czyjeś przed nim. A więc tam, ztyłu, za nim — być musi sam ów cud może!

Wzdryga się i obraca, pełen oczekiwania i zmartwychwstałej nadziei... „Widzi“! On „widzi“ wreszcie! Lecz tak się smutnie wpatruje przez długą chwilę, z tak straszną trwogą niepewności, że serce ściska mu się niepokojem śmiertelnym, by mu i tą razą nie odebrano wymarzonego skarbu — życia! Ha — zabiłby się już teraz...

Lecz nie! Przyszło to właśnie wskrzeszające życie — nie śmierć jego... Życie nieśmiertelne, wieczne! Więc jest! jest ono...

Postać dziewicza, dziecinna jeszcze prawie, stoi w progu świetlistych podwoi. Promienie złote... czy złote warkocze?... kędziory-aureole, jakie nie okalały nigdy żadnej ziemskiej twarzy, rzucają blaski na twarz tę młodzieńczo-niewinną, genjalnie wzniosłą zarazem. Genjusza to — czy ducha źrenice! Wolno w nie raz tylko s p o j r z e ć, lecz p a t r z e ć w nie — nie można... Głębia zbyt straszna dla śmiertelnika. Błękit tajemnych wirów — i raju! Wzrok ziemski karleje i umiera wobec wzroku tego...

Drżący człowiek osuwa się na klęczki i mrużąc przygasłe oczy przed wielkiem słońcem tych źrenic — czerpie siły w łagodnych blaskach cudnych rysów, w dziwnej słodyczy łagodnych, smutnych ust...

A więc „tam“ także smutek być musi, jeśli jej nawet usta tak się uśmiechają?!... Litość nad nami może?... Lecz wszyscy przecież będziemy kiedyś „nimi“... i dla nas ziemia się skończy... a wtenczas uśmiechy nasze będą tryumfujące...

Smukłe ramiona wzdłuż smukłej postaci opadły. Biała szata srebrzy się i promienieje. Królewskie kwiaty kłębią się w pysznych kielichach, ścieląc przedziwny ornament pod drobne, bose stopy... Czary lotosów i lilij rozwarły

się szeroko. Migocą wizje palm i piór djamentowych.

Niebianka?.. czy zwykła tylko dusza ludzka, jego własnej duszy podobna, a z ziemskich powłok otrząśnięta — przybyła, by go wprowadzić w mistyczny świat tajemnic?... Nie! chyba takie zjawisko skalać się ziemskiem istnieniem nie mogło!... Czyli aniołem jest, czy zwykłą zmarłą dzieweczką — objawieniem jest, cudem!

Lecz tyle lat życia — nie mogło przejść bez śladu. Po pierwszej chwili ekstazy, tylekrotnie już zawiedziony marzyciel — usiłuje znowu rozumować, probuje wykryć ślepotę swych zmysłów.

— Czy jesteś nowym, wspaniałym snem „ze srebra i kryształu?“, snem poety malarza, nagle obudzonego we mnie? plastycznym wytworem spragnionej duszy mojej? a więc zniknij mi z oczu, bo i ty także niczem dla mnie będziesz!

Lecz oto słyszy głos. Nie zwykły głos, z piersi wydany, a brzmiący w powietrzu, lecz tylko głos ducha, słyszany uchem jego duszy:

— Zbliż się!

Posłuszny rozkazowi, podnosi się z klęczek... i zwolna postępuje ku wizji, dreszczem świętokradzkim przejęty. Lecz im więcej się zbliża, tem bardziej ucieleśnia się i wypukleje cudowna postać, tem potężniej palą go i oślepiają promienie, bijące od niej, tem boleśniej zamiera mu oddech od mocnej woni bajecznych kwiatów. Czuje pomimo fałdzistych szat, siłę żywego potężnego wzroku, czuje blisko istnienie to wielkie, całem marnem istnieniem swojem... Chciałby się cofnąć i paść u stóp tych, błagając czemuś... o miłosierdzie... Istota jego cała, jak słaba ćma nocna w nęcącym ją potężnym ogniu — zamiera, kurczy się, mdleje...

Lecz ten sam głos, słyszany tylko uchem ducha jego, odzywa się znowu, pełen rozkazu:

— Dotknij mej dłoni!

Nie może już cofnąć się, pomimo rozpaczliwego wysiłku. Krok jeszcze naprzód postępuje, choć już nie własnowolnie. Wyciąga miotającą się w bezsilnym oporze rękę. Dotyka wreszcie „tej“ dłoni.

Krzyk straszny, pełen boleści wyrywa mu się z piersi. Dłoń jego ujmuje drobna ręka... ręka, paląca ogniem... mrożąca lodem?

Ogień? czy lód? odróżnić tego nie może, jak gdyby ogień i lód mogły się spoić w jeden spazm bólu i roskoszy!... Osłabłe serce bić przestaje. Oczy zachodzą mgłą.. Omdlewa, czy kona?

Nagle uczuwa, jak wracające życie wsącza się znowu w całą istotę jego. Dłoń wypuszczona z uścisku, opada znowu wolna.

I słyszy głos, brzmiący litością pogardliwą:

— Abyś miał i na przyszłość dowód oczywisty, gdyż taki tylko dostępny jest biednej duszy twojej — odtwórz, co widzisz przed sobą!

Słucha wyrazów tych już z sercem mniej bijącem. Czuje, że jest już w tej chwili tak zdrowym i przytomnym, tak włada sobą i tak rozumie wszystko, jak gdyby w ranek słoneczny szedł wonną miedzą wśród łanów. Świadomość ta uszczęśliwia go nad wyraz wszelki... Odtworzyć?.. Ależ pragnąłby tego z duszy całej! tylko jak to uczyni? Od kiedyż nie rysował! nie rzeźbił nigdy w życiu! Umiał tylko uwielbiać sztukę i studjować ją w cudzych dziełach. Gdyby zaś nawet był artystą — złepku gliny, ołówka czy pędzla, papieru czy płótna nie znalazłby przy sobie...

Lecz oto głos brzmi znowu z tą samą pobłażliwą ironją!

— Czyż o to chodzi? Obraz być **musi** podobnym do oryginału, chociażby węglem z komina, włożonym w rękę twą niedołężną, wodzono po błękitach tego jedwabiu! Spiesz się, gdyż model twój pozować długo nie będzie.

Gwałtownym ruchem zrywa z nad łóżka niebieską kotarę — i ciężki jedwab rozściela się na posadzce, jak gruby kobierzec, bez zmarszczków i zagięcia. Chwyta kawałek węgla tak zaostrzony, jak gdyby go wybierał malarz do pierwszych szkiców swoich. Przyklęka i oko pewne, bystre i natchnione — zatapia śmiało w nadludzkim modelu swoim... Węgiel zaczarowany kreśli z szybkością błyskawiczną przedziwne linje, rozpływa się w skrzydlatych, lekkich cieniach. Nie widzi zresztą, co kreśli ta ręka mistrza, w słabą dłoń jego wrośnięta, a tylko cichy, skupiony, wpatruje się w oblicze cudu swego. Ale i ten, nawet niezwykły wzrok jego — pierzcha i teraz przed „tamtym“ wzrokiem — i ta nawet, niezwykła teraz dłoń jego — nie śmie przenieść „tych“ oczu na obraz, który kreśli. Jak w posągu antycznym zostawia ona pustkę w podłużnej oprawie źrenic.

Model milczący i posągowo zastygły stoi przed nim majestatycznie a cicho, jak nigdy żaden model ziemski nie stał przed żadnym malarzem. Stoi tak do ostatnich pociągnięć węgla cudownego. Dziwny nocny artysta stracił rachunek czasu. Nie wie — chwile czy wieki całe spędził na klęczkach, rysując... Lecz oto skończył. Węgiel wypada z mdlejącej nagle dłoni jego. Terazby już ona żadnego ruchu uczynić więcej nie mogła. Straszliwe znużenie okuwa chwiejącego się człowieka. Chciał by się dźwignąć z klęczek, lecz czuje, że bez pomocy obcej uczynić tego nie może. Oczy tylko jego, wciąż rozpalone ekstazą, wpatrują się, jak dawniej, w obłok ze srebrnych promieni i srebrnych kwiatów.

Tymczasem postać niebiańska zaczyna nagle różowieć i złocić się naprzemian. Księżycowa srebrzystość jej lica — zabarwia się podmuchem tonów ciepłych, różanych. Zjawisko całe, jak Venus w skrzydłach Aurory na progu

z piany morskiej — rozkwita niespodzianie przepysznym ziemskim blaskiem. Seraf dzieweczka zmienia się nagle w cudną pogańską boginię. Rozkoszny uśmiech zawisa na purpurowych jej ustach. Gorące złote iskry chwieją się w falach ciężkich warkoczy. Smukły kształt ciała półdziecinnego dojrzewa w greckiej doskonałości...

Potężny prąd świeżej siły odradza całą istotę jego. Zrywa się z klęczek i rzuca się gwałtownie ku tej królowej czaru... Nie puści jej, nie puści!

Nagle kaskada gęsta kwiatów spływa z góry pysznymi potokami, bogini znika za ich tęczową zasłoną... Znika jak błyskawica wiosenna wśród puchów chmur majowych...

I oto już tylko się kołyszą na grubych złotych łodygach — ciężkie kielichy purpurowe na miejscu bladych lotosów i gibkich lilij... Dalej wielkie liście zębate, jakby z perłowej masy rzeźbione, a lśniące seledynem, szafirem i szmaragdem.. Przeklęte kwiaty! Rzuca się ku nim, drżący od gniewu — by stargać ich łańcuchy, by przebić ich zasłonę... Lecz wyciągnięte dłonie jego — kurczą się nagle i martwieją w płomieniach czerwonych, kolących tych kielichów i w lodach liści seledynowych?... Płomień czy lód?... Lód tylko... lód... A przez te lody patrzy na niego dziwne, krwawe a bezpromienne oblicze niewidzianego dotąd słońca...

* * *

Wyblakłe tło perłowo-niebieskie, do srebrzystego tła księżycowej nocy podobne. Na niem ślizga się w locie, czy też zstępuje z góry – wysmukły cień kobiecy. Miejscami rysunek ściele się puszyście, jak pyłek kwiecia, co lada wiatr rozwieje. Gdzieindziej, skreślony tylko paru silnymi rysami, przykuwa oko twórczą mocą. Przecudna głowa uderza dziwnym kontrastem ostro-falujących kędziorów, jak węże Meduzy niecierpliwie, szkicowo zaznaczonych — obok miłośnego wykończenia udochowionej, mistycznej twarzy, obok zimnej pustki posągowych rozwartych źrenic.

Przed tą błękitną ścianą spędza długie godziny szczęśliwy człowiek, — jedyny może szczęśliwy na całym świecie. Od nocy „objawienia“ sprawy świata tego są dla niego igraszką dziecinną, z wysoka traktowaną. Duszę jego wypełnia błogi spokój posiadania skarbu, którego nic wydrzeć nie zdoła. Na ustach zastygł na zawsze uśmiech pewnej siebie wyższości.

Raz jeden przypadkowo wszedł do sanctuarjum jego znakomity malarz-ziomek.

— Kto wpadł na tak dziwacznie piękny pomysł? nic podobnego nie widziałem w życiu... Jest to zachwycające! — spytał ten po długiej chwili milczącej kontemplacji.

Żadnem słowem nie odpowiedział na to, tylko przeciągłe westchnienie szczęścia wysoko uniosło pierś jego.

Wszak dłuta ani pędla nigdy nie trzymał w dłoni...

Janina Baudouin de Courtenay.

BOLESŁAW PRUS O CZECHACH.

(Dokończenie.)

Co się tyczy oświaty, tę kwestję wyjaśnią dwie cyfry. W Czechach, ludzi nie umiejących czytać ani pisać znajduje się 6 proc. ogółu, podczas gdy w Galicji stosunek ten wynosi 68 proc. Czyli — że w nieszczęśliwej Galicji, wśród ludu panuje jedenaście razy grubsza ciemność, aniżeli w Czechach...

Dosyć charakterystycznym jest — napozór drobny fakt, który jednakże świadczy — jak porządnie gospodarują w Czechach. Mam na myśli obfitość dzikich zwierząt na polach i w lasach. W roku 1892 zabito 13,000 sarn w Czechach, a 6,000 w Galicji, — 550 tys. zajęcy w Czechach 48,000 w Galicji, – 60 tys. bażantów w Czechach a tylko 800 sztuk w Galicji. Naodwrót zaś zabito w tymże roku w Galicji 13 niedźwiedzi, 50 wilków i 25 rysiów, których w Czechach już niema!... Tak mówi p. St. Srokowski w broszurze p. t. „Czesi.“

Toż samo widzimy pod względem uspołecznienia. W Galicji na każdy miljon ludności przypada tylko 700 stowarzyszeń, podczas gdy w Czechach na tę samą cyfrę mieszkańców przypada 2.800 stowarzyszeń czyli — cztery razy więcej. Bardzo ciekawą wreszcie ilustrację stosunków czeskich podaje dr. Feliks Koneczny w wybornej książce p. t. „Głos w sprawie ludowej.“

„Im społeczeństwo dojrzalsze — mówi dr. Koneczny — tem bardziej skupia się w stowarzyszeniach; my pod tym względem należymy podobno do szarego końca narodów. Dla przykładu pozwolę sobie wyliczyć, jakie to stowarzyszenia istnieją w czeskiej mieścinie, liczącej sześć tysięcy mieszkańców (miasteczko Frenstat na Morawach, które tam uchodzi za zacofane).

„Otóż — mówi wciąż dr. Koneczny — w owej sześciotysięcznej mieścinie istnieją następujące stowarzyszenia: Kasyno dla inteligencji, kasyno rzemieślnicze, Sokół (towarzystwo gimnastyczne), Towarzystwo strzeleckie, spożywcze, pogrzebowe, upiększenia miasta i okolicy (!), oddział Macierzy czeskiej (Towarzystwo do sze-

rzenia tanich książek), Macierzy szkolnej, stowarzyszenie do wspierania czeskiej młodzieży uniwersyteckiej (w miasteczku o 6,000 ludności) wakacyjne stowarzyszenie akademików, kółko śpiewackie, stowarzyszenie amatorów scenicznych, czytelnia powszechna, straż pożarna ochotnicza, kapela miejska, (której niema np. w sto razy ludniejszej Warszawie), dwa bractwa kościelne, kasa chorych, Towarzystwo zaliczkowe, — a zatem 21 Towarzystw. Nadto mieszkańcy są członkami przeróżnych Towarzystw zamiejscowych, a po wsiach także nie brak członków.“

Wszystko co mówiłem o Czechach, ma na celu dowieść jednej prawdy, że: niema tak złej a nawet tak okropnej sytuacji, z której naród nie mógłby się podźwignąć, z której nawet nie mógłby dostać się na wysoki stopień cywilizacyjnego rozwoju, jeżeli umie pracować, jeżeli posiada mądrość, tę jedną z największych łask Bożych.

Czesi zaś posiadają i ofiarność i mądrość. Jednem z najpopularniejszych stowarzyszeń jest Macierz szkolna, utrzymująca się ze składek, nie tylko ludzi majętnych i wyżej ukształconych, ale także drobnych mieszczan, chłopów i wyrobników. Z tych to źródeł Macierz czerpie około 300 tysięcy guld. rocznie, za które utrzymuje 45 szkół ludowych, 44 średnie a przy nich 300 nauczycieli obojej płci.

Jak głęboko sięga tam ofiarność publiczna, dowodzi świeży fakt. W końcu listopada r. b. zmarł Józef Maćku, uczeń gimnazjum litomyślskiego, który testamentem zapisał: 5.000 gul. centralnej Macierzy szkolnej 1.000 gul. Towarzystwu literatów czeskich i 2.700 gul. na inne cele narodowe i humunitarne.

Ale nie tylko w dziedzinie ekonomicznych stosunków Czesi robią wielkie postępy. Jest to bowiem naród wysoce muzykalny, posiada wielkich poetów, malarzy, językoznawców, historyków, matematyków, przyrodników. Znawcy twierdzą, że dziś zupełnie wystarcza znajomość języka czeskiego, ażeby być wyżej ukształconym człowiekiem: tyle Czesi posiadają w swojej literaturze prac pierwszorzędnych, jeżeli nie oryginalnych, to przynajmniej tłómaczonych.

Na zakończenie trzeba dodać, że jest to naród na wskróś demokratyczny; narodowość też, — a raczej narodowa świadomość Czeska nie opiera się na kilku tysiącach ludzi ukształconych, ale na miljonowych masach.

Tam, gdzie duch narodowy koncentruje się tylko wśród klas wyższych, społeczeństwo jest podobne do świecy, w której malutki płomyk światła unosi się nad ogromną masą łoju. Tam zaś, gdzie świadomość przenika wszystkie warstwy, społeczeństwo podobne jest do słońca, które pali się całe i niełatwo zagaśnie.

My niekiedy próbujemy naśladować Czechów, ale udaje się to nam nie osobliwie. Tak np.: ponieważ czeski „naród sobie“ postawił w Pradze teatr, więc i we Lwowie także naród sobie stawia teatr i także przeznacza na ten cel przeszło miljon guldenów. Niestety! we Lwowie zapomniano, że nim Czesi pomyśleli o teatrze, już byli bardzo bogatym narodem. Co więcej — na pół wieku przed zbudowaniem teatru założyli Macierz czeską! Wątpię zaś, czy zdecydowaliby się poświęcić milion guldenów na teatr, gdyby ich budżet krajowy przedstawiał się w następujący sposób: Wydatki — 9 miljonów, Dochody — 3 miljony guldenów.

Wśród takiego to narodu Franciszek Rieger spełniał rolę jednego z kierowników.

Był ich tam zastęp nie mały. Więc, gdy jedni budzili swój lud z letargu, drudzy oczyszczali jego język, inni obznajamiali go z historją sławnych czasów, jeszcze inni uczyli go czytać, pisać, pracować i oszczędzać. Rieger należał do tych, którzy Czechom, uznanym za nieboszczyka, chcieli wyrobić miejsce między żyjącymi ludami Austrji, pomimo silnej opozycji Niemców.

Rieger nie był więc poetą, ale politykiem.

(Kurjer Codzienny.)

Z pism i książek.

Free Russia (Wolna Rosja), organ Towarzystwa przyjaciół wolności w Rosji rozpoczyna styczniowy numer artykulikiem o niebezpieczeństwie, grożącem słynnemu pisarzowi rosyjskiemu Tołstojowi. Reakcyjna kamaryla dworska z Pobiedonoscewem na czele gorliwie podobno pracuje nad carem, aby go skłonić do wygnania Tołstoja z granic caratu. Wszelkie zaburzenia, zwłaszcza zaś religijny ruch sekciarski przypisywane są jego wpływom. M o s k o w s k i j a W i e d o m o s t i wyraźnie domagają się represalji tak względem Tołstoja, jak i jego wyznawców. Tołstoj otrzymał podobno ubiegłego lata cały szereg listów z groźbą śmierci za wrogie stanowisko, jakie zajął wobec prawosławja. Ale wielki pisarz nie daje się zastraszyć i nie zaprzestaje swej walki z autokratyzmem i kościołem prawosławnym. Na telegraficzne zapytanie amerykańskiego pisma „W o r l d,“ jakich spodziewać się można rezultatów z manifestu cara w sprawie powszechnego rozbrojenia, Tołstoj odpowiedział: „Wszystko skończy się na s ł o w a c h. Pokój powszechny osiągniemy wówczas tylko, gdy w poczuciu godności własnej odmówimy posłuszeństwa rządowi, który wyciska podatki i zmusza do służby wojskowej dla podtrzymania zorganizowanego morderstwa i przemocy.“

W kronice tegoż samego numeru znajdujemy wyjątek z angielskiego „Times'a“ w sprawie pomnika Murawiewa Times podnosi, iż pomnik ten i stanowisko, jakie wobec niego zajęła prasa rosyjska, jest wymownem świadectwem bankructwa akcji ugodowej w Królestwie polskiem.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.